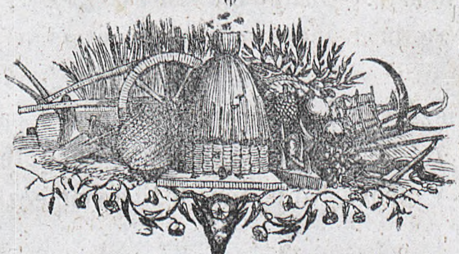
Tom II. Nr. 14.

11. Maja. 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BÓJ SIĘ BOGA.

Powieść o złym handlarzu.

Niespełna dwie mile od Myślenic, w jednej wsi żył sobie zamożny gospodarz. Zaczął on był handel zbożem i tak mu Pan Jezus poszczęścił, że niezadługo do wielkiego przyszedł majątku. O tym majątku prawili ludzie, że to nie zawsze chciało mu się stare cwancygiery ręką rachować, ale je miareczką mierzył — no, czy to mierzył czy nie mierzył, co nam do tego, boć też i ludzie ot jak ludzie, lubią zaraz z kota zrobić wilka — dosyć wam powiedzieć, że sobie był bogaty i gospodarz całą gębą.

Ale nie wiedzieć moi ludzie, czemu się to tak dzieje, iż często gęsto majątek jakoś człeka znarowi, że miasto być lepszym za to, co mu Bóg szczęści, to on staje się gorszym i zapomina na miłość Boga i miłość bliźniego, bez czego choćbyś i po same uszy w złocie opływał, to ci z niego nic nie przyjdzie. — Otóż mówię ten nasz gospodarz jak został panem handlarzem, to jakoś zhardział dla swoich sąsiadów, ba nawet dla krewniaków, bo ich i znać nie chciał we wsi.

I zdarzyło się jednego dnia, a był to piątek, właśnie dzień targowy w Myślenicach — nasz pan handlarz wybiera się ze zbożem do miasta. Jużci ma ruszyć z przed domu, aż tu zachodzi mu drogę brat jego rodzony, co pono tylko chałupnikiem był we wsi i w wielkiej żył biedzie. Więc że to było właśnie na najcięższym przednowku bo przed samemi żniwami, ubogi ten brat zbliża się z nieśmiała do bogatego, schyla mu się aż do nóg i prosi, aby mu też ćwiarteczkę żyta przyborgował:

— Jak sami zażądacie, mówi — albo wam ją odpłacę lub też odrobię we żniwa; jeno się też bracie dzisiaj zmiłujcie nademną!

— Idź sobie z Bogiem! rzeknie mu z fukiem brat bogaty — pracuj lepiej na kawałek chleba, to go będziesz miał tyle co ja, boć i mnie z nieba nie spadło, a nie zachodź do mnie napróżno, bo ja nie mam zboża na żadne borgi.

Biedny brat jeszcze raz popróbował prośby, bo myślał: może też zmiękczę serce tego człeka, co mi przecie jest taki bliski!

— Bójcie się Boga! powiada a miał łzy w oczach — pracuję bo, pracuję, ale mi jakoś żona niedomaga i dzieci drobne — ciężkie lato na mnie, bracie! toć was ta ćwiartka żyta nie zuboży a mnie siła dopomoże.

Ale bogacz już nawet nie słuchał, skoczył czemprędzej na wóz obładowany zbożem, kazał parobkowi zaciąć konie i pojechał na targ, nie ulitowawszy się nad bratem. — Odszedł biedaczysko a żal straszliwy obległ mu na sercu, więc może i mimowoli co złego pomyślił przeciw bratu, może mu i złorzeczył, któż to wie! dosyć że miał łzy w oku, a łzy wyciśnione ubogiemu, jeszcze bratu, to widzicie, wołają o pomstę do nieba.

Tymczasem bogacz jedzie sobie spokojnie na targ do Myślenic; wsadził czapkę na bakier i rachuje, ile będzie miał zysku na zbożu, a w duszy się cieszy, że mu znów kupka cwancygierów na wieczór przybędzie. W takich myślach zajechał-ci szczęśliwie do miasta i stanął sobie w najlepszem miejscu w rynku koło św. Florjana.

Jak się już rzekło, to był przednowek — w takim czasie najłatwiejsza sprzedaż, bo po byle jakie ziarnko, jak to mówią:

gęsta bywa ręka. I koło naszego handlarza wnet kupka ludzi stanęła; ten chce ćwiarteczki, ten dwóch — i piekarz zajrzał na próg i spytał o cenę — ale nasz handlarz dzisiaj trzyma się strasznie ze zbożem, bo powiada: że zboże dochędożone i czyste jak szkło. Już się nawet zgodził był jaki taki i nadstawiają worki, a on im mierzy — aż tu pare głosów ozwało się:

— Hej panie gospodarzu, gospodarczyku! wyście ręczyli, że zboże czyste i my wam dajem co chciecie, a oto widać żeście nas oszukali, bo zboże nieczyste. Musicie nam coś z targu opuścić.

Jużcić ludzie nie gadaliby, gdyby tak nie było w rzeczy samej; ale handlarz taki przy swoim obstawał że zboże czyste.

— At, bójcie się Boga i nie gadajcie nam tego handlarzu! odpowiedzą ludzie — przecie Bogu dziękować nie ślepi jesteśmy jaki towar — nieczyste bo, dalipan że nieczyste.

Dopieroż handlarz wpadnie w złość i wrzasnął na całe gardło:

— Ja wam mówię, że jeśli to zboże nieczyste, to niech mnie jasny piorun trzaśnie!

Ludziska aże odskoczyli od niego, tak się im jakoś straszno zrobiło i jak mówią, to w tej samej chwili wrona zadarła się przeraźliwie.

Tymczasem zboża i tak ubywa z wora. Do południa wymierzył wszystko, siadł sobie potem na workach, porachował pieniądze i mruknął pod nosem: Dobry targ! I jeszcze poszedł sobie do sklepu po jakiś tam sprawunek, palnął kilka kieliszków *esencyi*, wrócił do woza i zabrał się ku domowi.

Aliści ledwo co wyjechał za miasto, spojrzy ku zachodowi, a tu chmura straszna, czarna niby gradowa nadciąga od Krakowa.

— Kuba, zatnij skarogniadę — rzeknie do parobka — trza pospieszyć, aby nas bieda nie schwyciła w drodze.

Kuba też batem po koniach, a konie dobre, wóz próżny, więc lecą jakby wiatrem. A tymczasem chmura coraz się zbliża, okrutnie się łyska i grzmt coraz mocniej słychać.

— Źle! krzyknie handlarz — widać nie zdążymy przed deszczem; zacinaj co żywo, bo jeszcze do domu opętane pół mili.

Pędzą co koń wyskoczy. Już są w pół góry Głogonowskiej, konie zwolniały, boć spory pagórek — aż tu jedną razą, gdy się już wdrapali na wierzchołek góry, jak sypnie ogniem między oczy parobkowi, i nie rzekł jeszcze: *„a słowo stało się ciałem“* — a tu jak huknie piorun, to aż się cała góra zatrzęsła i konie od strachu stanęły. Parobek ledwo żyw obejrzy się, a gospodarz nie żyje — grom Boży uderzył w niego.

Nie bał ci się on Boga, kiedy patrzył na łzy biednego brata a nie podał mu ręki; i *nie bał się też Boga*, skoro na swoją grzeszną duszę wzywał piorunu z nieba — a to też za to zginął od piorunu.

A możeście ciekawi, co się stało z temi pieniądzmi jego? O jak prawią, to więcej niż ćwierć samych cwancygierów po nim zostało — ale pan Jezus tam wie, gdzie się podziały. Dzieci też jego biedne, bo tylko błogosławieństwo Boskie sprowadza dobytek dobry w rodzinach, a złoto i śrebro kiedy źle nabyte, prędko stopnieje jak ten śnieg na wiosnę.

Ludka z Myślenic.

GNIAZDKO BOCIANIE.

Matka i dziecię.

Dziecię. Oj oj! matulu, cóż to się stało,
Z gniazdka bociana coś wyleciało?
Patrz-no matulu, wszakże to młode,
I któż to zrobił mu taką szkodę?

Matka. Oj źle kochanie, oj złe to znaki!
To straszne wróżby robią te ptaki.
Widzisz tam w górze na jednej nodze
Bocian klekoce swojej niebodze.
A jaki smutny, patrz jak osowiał —
A jaki smutny, jakby owdowiał!
Serce matuchny od żalu pęka,
Ojciec nad smutną matką przyklęka —
Bo widzisz dziecię, w gniazdku dość dziatek,
A żywić wszystkie im niedostatek,

Więc aby wszystkie nie zmarły z głodu,
Trzeba zawczasu, trzeba za młodu,
Choć przyjdzie strasznie matce się smucić,
Jedno dla innych z gniazdka wyrzucić.
O jak tam serce matuchny boli —
Pożal się Boże takiej niedoli!

Dziecię. I cóż to znaczy na naszą mowę,
Czy może jakie nieszczęście nowe?

Matka. Ot między ludźmi taka wieść chodzi,
Że skoro matka na to się zgodzi,
By ród ocalić jednego stratą —
To przyjdzie na lud głodowe lato.
Bo jużci trzeba wielkiej przyczyny,
By matka swoje niszczyła syny!

Dziecię. Matulu! patrzcie — dziecię nie żyje!
O jak wyciągło chudziuchną szyję...

Matka. Cyt... to się w ziemi teraz zagrzebie —
Lecz trzeba prosić Boga na niebie:
By głodne lato od naś odwrócił,
I nas ze swojej łaski nie zrzucił.

J. K. T.

O SYNACH MACIEJA.

Opowiedział Grześ z Mogiły.

I.

Najzasobniejszym i najuczciwszym gospodarzem w Nalesiu, był sobie stary Maciej. Wszyscy go znali i szanowali, bo też łaska boska przysparzała mu dobytku i szczęścia domowego, a a to w nadgrodę za życie spędzone uczciwie. A słusznie należało mu się poszanowanie od wszystkich, bo za młodu darmo chleba nie jadł, a włos jego siwy pamiętał nie jedną dolę i niedolę. Za młodu bywało służył na wojnie pod Kościuszką, co to był wielkim jenerałem polskim, a oblekał się w krakowską sukmanę i w czapeczce z pawiem piórkiem chodził. Bywał więc stary Maciej i na wozie i pod wozem, a jak się wojny skończyły, wrócił na ojcowiznę, ożenił się i gospodarzył że to aż uciecha!

Więc i zagrodę miał najporządniejszą, i komin murowany, i chudobę nielada jaką, a że był człowiekiem oszczędnym, to i gotowizny w skrzyni jak na złe czasy i podatki, dość wiele leżało.

Było to jakoś na początku jesieni; żniwa się już pokończyły, jeno co kapusta i ziemniaki były jeszcze w polu. A że to było już wieczorem a każdemu po pracy wypocząć się należy, toż stary Maciej usiadł sobie ze żoną na ławie przed zagrodą i gawędzili i czekali na syna Staszka, co z miasta miał wrocić. Drugi syn Adam, siedział sobie na kłodzie i łupał szczypy na podpał. Spory już to był wyrostek, a uciecha ojców, bo to i smukły niby sosna i tęgi jako dąbczak, i pierwszy zawsze w szkole, co ją gmina razem z dworem dla dzieci swoich ufundowała. Mieli Maciejowie i trzeciego syna Jonka, ale ten był przy wojsku gdzieś daleko aż w niemieckim kraju.

Toż i teraz zaturbowani siedzieli, choć ładnie było na ziemi i prześlicznie na niebie. Gwiazdek jakby nasiał niby maku w górze — migotały sobie niby oczęta anielskie. Jednej tylko we środku, z długim ogonem, coś źle z oczu patrzyło. Kilka dni świeciła ona już na niebie — a ludzie jak zwykle przepowiadali, czego uchowaj Boże! wojnę lub pomorek.

— Widział ja już takie gwiazdy, a nigdy to na dobre nie wyszło — ozwał się przecie Maciej do żony.

— Hej, hej — ta i psy strasznie wczoraj wyły — zadumała się Małgorzata — byle tylko nie wojna, boby Jonka gdzie na kraj świata zapędzili. A dyć i teraz coś nic a nic nie pisze.

— Nie frasuj się Małgoś, nie frasuj; nie każdego-to tam kulka trafia na wojnie — pocieszał Maciej — mnie co innego markoci.

— A no cóż?

— Bo jakby broń Boże, na wojnę padło, toby nam i Stacha zabrali — bo chłopak jak świeca.

— O mój Boże dyćby tego nie zrobili!

— Coby nie zrobili; *strzeżonego Pan Bóg strzeże* — odpowiedział Maciej a głową pokiwał do tego. Aleby może temu i zaradzić jako.

— A jakże? gadajcie.

— Jak? Owóż miarkuję ja, że Stachowi Bartoszowa Baśka coś do oka wpadła; trza go z nią ożenić to go może i nie wezmą.

— A toście mi z gęby wyjęli — dyć sama myślałam już o tem.

— Chyba tak zrobić — jutro niedziela to i w swaty poszlemy; czem prędzej tem lepiej.

W tem ozwało się trzaskanie bata i Staszek raźno zajechał przed zagrodę.

— Nowiny, nowiny! — wołał jeszcze z woza, potem skoczył i uścisnął ojcom kolana i wydobył pisanie z zanadrza.

— Od Jonka, od Jonka! wołała ucieszona Małgorzata i wszyscy się zabrali co tchu do izby. Zaświecili chyżo kaganek, a że to Stach nauczny był w pisaniu i w czytaniu — zaczął czytać co tam Jonek z wojska pisze. Ale mu jakoś gładko nie szło, bo były tam słowa jakoś z niemiecka przekręcone, co nikt nie mógł ich wyrozumieć.

Koniec końcem przeczytali jakoś do ostatka. A pisał Jonek że się coś na wojnę zabiera, że wnet wymaszerują, na końcu pisał że bardzo drogo, że nie można się wiele z tego pożywić co im płacą i prosił, żeby mu ojciec pieniędzy trochę przysłali.

— Zapomniał już mówić po swojsku — westchnął Maciej i pokiwał głową.

— Ta co tam szkodzi że się trochę po niemiecku nauczy — mówiła Małgorzata.

— Długie włosy krótki rozum, moja Małgoś! dyć on i tamtego się nie nauczy i swoje zapomni. A to wielki grzech, bo będzie jako bydle co po nijakiemu nie umie gadać.

Mówili jeszcze o Jonku, aże Maciej ozwał się do Staszka:

— Słuchajno Stachu! Zabiera się na wojnę a ty chłopak tęgi, toby i ciebie na wojaka zabrać mogli. Nie dał by ja sam rady moją siwą głową całej gospodarce. Uradziliśmy więc właśnie, żeby cię ożenić — a żem pomiarkował że ci Basia w oko wpadła, więc z Basią.

Stach aż podskoczył z radości i ucałował ojcom kolana.

— Jutro więc poszlemy w swaty. Bartosz pewnie nie będzie od tego — dokończył Maciej.

A Stachowi jakby miodem koło serca posmarował.

I tak ta jeszcze gadali i radzili aże się i późno zrobiło — toć opatrzywszy gospodarstwo broń Boże od szkody albo złego człowieka, odmówili pacierze, stary Maciej jako miał we zwyczaju odśpiewał sobie oną pieśń sławną „kto się w opiekę podda panu swemu“ i wszyscy spać się ułożyli. Toż i wnet cicho było w gospodzie Maciejowej, jeno co koguty słychać było po wsi.

Długoby to mówić jako się na drugi dzień w Bartoszowej zagrodzie radowali. Po sumie w kościele, jak to zawsze przy niedzieli bywa, posłał Maciej swatów do Bartosza, gdzie ich i ojciec i córka otwartem sercem przyjęli. Więc i zrękowiny i radość wielka — i grajki się znalazły — a z grajkami i Adam Maciejów co miał spryt do tego, na skrzypkach wygrywał. Bo teżto aż serce skakało, było się na Stacha i na Baśkę popatrzeć. On rosły i tęgi — ona najrządniejsza dziewucha we wsi, liczko u niej krew z mlekiem. Urosła i wdzięczna i zdarna, bo też ojcowie Basię jedynaczkę jak źrenicy w oku pilnowali. A tak jakoś oboje przypadli do siebie, tak przylepli sercami, że aż zazdrość brała. Więc tam i pohulali trochę i radowali się serdecznie i starzy i młodzi, że o wojnie nawet zapomnieli.

Aleć to wielka prawda w tem co ludzie mówią: Człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. Nie raz, nie sto razy inaczej Pan Bóg dopuści jak ludzie uradzą. Owóż i Stachowi tak samo się stało.

Żeby się długo ze ślubem nie zwlekało, dali zaraz w tygodniu na zapowiedzi. Basia szyła sobie wyprawę i Staszka oporządzali czem prędzej, bo już ludzie o rekrucie coś zaczęli nie na żarty przebąkiwać. Aliści ledwie dwie zapowiedzi wyszło, dostał wójt srogi nakaz rekruta do miasta odstawić czemprędzej. Toż się dopiero lament wielki zrobił, bo i Stachowi stawiać się patrzyło. Myślał atoli Maciej że mu Stacha nie wezmą, bo to on stareńki, a Adam dopiero wyrostkiem; miarkował więc w ten sposób żeby się do miasta z rekrutami wybrać, a w urzędzie za synem poprosić, kiedy już odstawić padło.

Daremno Małgorzata szlochała, daremno Basia zawodziła że się aż serce krajało, pożegnał się Stach ze wszystkimi i ruszył w dobrej myśli z Maciejem i innymi do miasta.

Co się zaś w mieście stało, to mi i mówić żal bierze. Daremnie się Maciej wstawiał i prosił za synem. Potrzeba była wielka, toż i Stacha na wojaka wzięli i na drugi dzień zaraz gdzieś w świat popędzili.

— Bądźcie mi zdrowi ojcze, pozdrówcie tam wszystkich, a Basię mi chowajcie. Pan Bóg da że się wrócę, to się pobierzemy — mówił Stach jak już iść wypadło.

A Maciej tylko go przeżegnał, bo mu żal mowę odbierał, a łzy choć staremu wojakowi niby groch z oczów kapały.

II.

Smutno Maciejom i Basi przechodziła zima. Czy to jaka muzyka, czy zabawa, czy wesele, to Basia ani słyszeć nie chciała. A Maciejowie jak trzy listy dostali, to potem ani słychu co się dzieje z synami. Tyle mieli uciechy, co poszli do kościoła pomodlić się gorąco do Pana Boga. Czasem jeszcze gawędzili sobie i pocieszali się dobrą nadzieją, czasem słuchali jak Adam na skrzypkach wygrywał bo spryt miał wielki do tego. To też Adam nielada pociechą był dla ojców w tak ciężkiem strapieniu.

Już tam i zima miała się do końca, a tu jak nic tak nic nie słychać z wojny. Aż raz wieczorem gdy Maciejowie w izbie zafrasowani siedzieli, wszedł ksiądz proboszcz i opowiedział strapionym, że się wojna skończyła.

To też uciechy było choć trochę. Zdawało się Maciejom że kiedy wojna skończona, to i synowie wrócą i lada dzień ich wyglądali. Czasem sobie myśleli a może ta i który nie żyje? Ale ufali w Bogu, że może przecie obydwóch przy życiu utrzymał.

A tymczasem i wiosna zaczęła zaglądać na ziemię. I słoneczko wyżej się posunęło i śnieg zaczął tajeć i drzewa już w pączki rozpąkały, tak jak bywa na wiosnę.

Wszystko się zabierało do wesołości i do radowania, tylko Maciejowie nie bardzo byli weseli, bo ni to pisma ni wiadomości

jakiej — jeno Basia smutna chodziła, nic ją nie radowało, ani wiosna, ani pączki, ani słonko jaśniejsze.

Już też i ptaszkowie zlatywać się poczęli. Bociany ciągnęły sobie na stare gniazda i jaskółki zaczęły świergotać i skowronki śpiewały już chwałę Niebieskiemu Panu — a tu o synach nic a nic nie słychać.

Basia smutna a smutna była ciągle — aż żal brał patrzeć na nią. Coś jej bardzo, bardzo było przykro. Dnia jednego coś weselej się zrobiło w zagrodzie Macieja. To sroki na płocie siadały — to kot się mył na przypiecku i Małgorzacie coś się wesołego śniło — a nie darmo to wszystko, bo jakoś pod wieczór zaszedł ktoś do chaty. Toż wnet krzyk się zrobił radośny i uciechy było dużo, bo to Jonek wrócił z wojska.

Ale dziwnie wyglądał to ten Jonek, iście niby strach w prosie. Fajczysko porcelanowe z jakiemś ta malowaniem po wierzchu w zębach jeno trzymał, a czapczysko wytarte na lewem uchu z fantazyą zawiesił i głowę darł do góry niby osieł w trawie. I dziwo się stało bo Jonek coś tak mówił paskudnie, że aż uszy bolały — co dwa słowa po swojemu, to dwa znowu po jakiemuś gorzej żyda szwargotał.

— A cóżeś ty już mówić zapomniał? — zawołał Maciej.

— Ej bo oni nie rozumią, ja śprechuje *dajć!* odpowiedział Jonek.

A Małgorzata aż go poznać nie mogła, a Adamowi aż włosy na głowie stanęły.

— Miły Boże! tobym wolał nie widzieć syna na oczy, niż żeby się wstydził mówić jak uczciwi ludzie — turbował się Maciej.

— Ej bo głupstwo oni mówią — odfuknął Jonek.

— Ruszaj sobie kiedy nie umiesz mówić z nami! — zawołał Maciej bo go już złość zebrała.

— To mi recht, pójdę szukać kamratów do austeryi — odrzekł Jonek i brał się do wyjścia, aż wtem wbiegła do izby Baśka zadyszana.

— Jak się masz Jonku, a gdzie Staszek? — zapytała co tchu. —

— O wa! gdzie tam Staszek! — zawołał Jonek.

— A gdzież? — pytała Małgorzata.

— A gdzież? — pytała Basia przestraszona.

— Dostał halt kulką w łeb i fertyk — odpowiedział Jonek i wyszedł.

Basia chwyciła się za głowę, krzyknęła straszliwie i upadła jak nieżywa na ziemię. Małgorzata zaczęła zawodzić okropnie, a Macieja, choć starego wojaka, mało ta nowina z nóg nie powaliła. Jął się jednak ocucać Basię, ale co tam z tego choć ją ocucił. Basi znać się coś w głowie pomieszało, bo zaczęła gadać i śpiewać od rzeczy i wyleciała z izby.

A że to w złej doli zawsze ludzie do pocieszania się znajdą, więc też wnet i ksiądz proboszcz przyszedł i mówił, żeby się zdali na wolę Boską a nie rozpaczali. Cóż kiedy więcej było nieszczęścia niż onej pociechy. Niedość że jednego na wojnie zabili — drugi co przyszedł z wojska ladaco był, jeno pić a dokazywać że aż zgroza bierze; a Basi niebodze coś się w głowie pomieszało. Wzięlici ją to prawda do dworu żeby uleczyć — ale to ponoś na taką słabość i lekarstwa niema.

Toż i tego niedość było Maciejom! chciał ich znać Pan Bóg srodze doświadczyć, jak często ludzi cnotliwych doświadcza.

III.

Co się Małgorzata napłakała nad łajdactwem Jonka, co się Maciej nasmucił — to tylko jednemu Panu Bogu wiadomo. Cała wieś znała tylko Jonka jako leniwca, urwisza i opoja jakich mało. On tam i ojcom z komory różne rzeczy wynosić umiał i ze żydem potrafił szachrować, bo cały Boży dzień jeno w karczmie siedział.

Maciej jak był miękkiego serca, tak go chciał nieraz na cztery wiatry od siebie odegnać, zaprzeć się go przed całym światem, ale się to zawsze jakoś na niczem skończyło — bo by mu od ojca chyba droga była prosto na szubienicę.

Nieraz bywało spoił się jak bydlę, że drzwi przed nim w zagrodzie zamykali; nad ranem z karczmy wychodził — a często i tam gdzie zanocował. A jak go i z karczmy wygonią, to bywało bodaj w rowie się przespi.

Była za zagrodą Macieja szopa nie wielka po nieboszcze babce. Tam to przed laty babka trzymała sobie krowinę. Toż po jej śmierci, chociaż ledwo że już stała, zostawili ją na pamiątkę, bo zresztą i na siano przydatna jeszcze była. Do tej to szopy łaził Jonek często na noc, jak jeszcze na nogach mógł się dobrze trzymać.

Owoż jednego razu szedł Jonek polami i spotyka Basię. A Basia chodziła sobie często polami i łąkami, nikomu nic nie mówiła, jeno śpiewała a śpiewała najróżniejsze rzeczy. Owóż i teraz szła sobie miedzą, w ręce miała dużo bławatów i wiła wianki i to na głowę to na ręce kładła, a śpiewała do wianków i mówiła do nich i śmiała się — ot jak zwykle *nawiedzona*.

Siedzieli tam pastuchy i przypatrywali się jej tylko, ale Jonek, co to chciał zawsze mądrzejszym być od innych, zaczął się z niej naśmiewać i wygadywać różne rzeczy. Cosi mu tam w sumieniu mówiło: Janku nie naśmiewaj się, to wielki grzech śmiać się z nieszczęścia bliźniego, ale on ta nie dbał wiele na to.

Basia jakby nie słyszała wiła sobie wianki i śpiewała dalej.

— Basiu, kiedy pójdziesz za Staszka? — naśmiewał się z niebogi.

— Moja mądra, dajże mi gęby! — Ale Basia nic na to nie odpowiedziała. On też ośmielony przyskoczył i pocałował ją w gębę.

Basia stanęła, popatrzyła się łagodnie na niego, podniosła rękę do góry i rzekła:

— Janku, Janku! gotujesz sobie i ojcom nieszczęście.

Odleciał Jonek na kilka kroków jakby go raziło — spuścił oczy na dół bo nie mógł się na nią patrzeć dłużej — obrócił i poszedł, ale w ustach brzęczały mu ciągle te słowa: Janku, Janku, gotujesz sobie i ojcom nieszczęście! I sumienie cosi mu wciąż gadało, a gadało. Ale co tam za jego sumienie! on chciał być mądrzejszym jak sumienie, zaczął się śmiać sam ze siebie i poszedł prosto do karczmy na ten swój frasunek.

Jak Jonek pił w karczmie, to ta nic ciekawego. Bo to człowiekowi aż na płacz się zbiera, kiedy widzi, jak drugi bydlę z siebie robi i leje jak w dziurawy worek. A Jonek lał w siebie półkwaterek za półkwaterkiem na zapicie sumienia.

I było ci tam kilku parobkow w karczmie, co wypili po kieliszku i radzili o swojej doli i niedoli. Ale tam Jonek osobno a owi osobno, bo nikt się z takim ladaco wdawać nie chciał. Jeno Jonek co to po kilku półkwaterkach nabierał odwagi, szukał czasem zaczepki. Owa i teraz ozwał się do arendarza:

— *Jud*, daj-no mi *śnapsu*, jeno lepszego jak tym chamom.

— A cóżeś ty to godniejszego od nas, hultaju! łajdacka duszo! ozwał się jeden z parobków.

— Nie stulisz pyska! wrzasnął Jonek i skoczył na nogi, choć go już nosić nie chciały i choć mu się dusza aż w piętę gdzieś schowała.

— Wyrzućmy tego łajdaka! ozwali się parobcy i jak się wezmą do niego duchem, jak go nie wysadzą za drzwi i za wrota od sieni, tak się miłemu Jonkowi i pięstuków sporo oberwało i nie zadługo leżał na brzuchu jak żaba rozkraczony, w pośrodku gnojówki, co przed karczmą stała. Ale cóż ta, taki człowiek to równie jak bydlę, nawet nie wie że jest człowiekiem; napluj takiemu w oczy, to powie że deszcz pada — uderz go w gębę, to się jeno obliźnie.

Toż i Jonek wygramolił się z gnojówki, mruknął jeno, poprawił ognia we fajce i ruszył się gdzieś przespać; szedł a kiwał się na wszystkie strony niby żyd na szabas. Zaszedł przecież jakoś do szopy po nieboszczce babce, zwalił się na siano, jeno chrapnął dwa razy i zasnął jak zabity.

Aż strach bierze opowiadać co się dalej stało.

Od fajki co Jonek wyjął z gęby, zaczęło się palić siano i nie wyszło ani dwa pacierze, jak cała szopa i zagroda w ogniu już stała. Gwałt się wielki zrobił po wsi, ale nim ta z wodą przylecieli, to już nie było wiele co ratować. Dobrze jeno co Maciej ze żoną i Adamem cało się dostali. Nikt nie wiedział gdzie jest Jonek; patrzą, szukają, aż oto wyleciał z płomieni co szopę roznosiły — osmolony, poparzony straszliwie, skoczył parę kroków i upadł; a niezadługo i grzeszna dusza z Janka wyleciała.

Cała chudoba spaliła się Maciejom, wszystko aż do odrobiny; jeno co trochę gratów z izby wyratowali. Dużo żalu i przestrachu było między ludźmi.

Bartosz przyjął pogorzelców do siebie, ale Maciej na drugi dzień rozniemógł się strasznie, a choć ta i doktora i leki z dworu przysełali, nic to nie pomogło. Nie wyszło i tygodnia, a starego Macieja nie było na tym świecie.

Owóż więc sama Małgorzata się została a przy niej Adam. I jej już było więcej do tamtego jak do tego świata, ale to jedno dziecko ją trzymało. A że ta jeszcze gruntu się dosyć zostało, dawali sobie radę jak mogli.

Basia mieszkała razem z nimi, a spokojna była i zawsze sobie jednako śpiewała i bawiła się jak dziecko. Najlepiej lubiała kiedy jej Adam zaczął na skrzypkach wygrywać jakie smutne nuty.

Lecz owóż Pan Bóg litościwy przecież wszystko przy końcu na dobre wykieruje. Usłyszał raz ksiądz proboszcz jak Adam na skrzypkach wygrywał; bardzo mu się spodobało, toż zawołał Adama do siebie i kazał staremu organiście uczyć go na organach. Adam że sprytny, miarkował sobie grę bardzo prędko i nie długo wyszło, a tak grał jak sam organista.

Tak tam coś ze cztery lata minęło. Organista bo już bardzo stary poszedł na chleb łaskawy do dworu, a ksiądz proboszcz wziął sobie Adama, chłopaka już pod wąsem, na organistę do kościoła. Co to uciechy było dla Małgorzaty, to i mówić nie potrzeba — a i ludzie się cieszyli, bo kochali Adama i życzyli mu dobrze, jako uczciwemu i mądremu chłopcu.

Aliści pierwszy dzień jak Adam organistą został, znalazł kościelny jakiegoś trupa na cmętarzu. Była to ładna Basia nieżywa. Zasnęła sobie z kwiatkami w rękach, a Pan Bóg przyjął jej duszyczkę do swojej chwały niebieskiej. Smutno było bardzo Adamowi, to też kiedy trumnę z Basią do kościoła przywieźli, jak zaczął grać a przygrywać żałośnie, to się wszyscy ludzie, a dużo ich było, aże rozpłakali. I klękli i zmówili Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, za Macieja, synów jego i za Basię niebogę.

POGADANKA WIEJSKA.

Mój tatusiu, zapytał się Walek ojca, mój tatusiu, Antek zpod wiatraka wybiera się na targ do miasta, a kobieta jego tak krzyczy, tak labiedzi, że się aż po wsi rozlega, bo powiada, że Antek źle robi, co tak często wymyśla sobie do miasta interesa. Powiedźcie mi tatusiu, czy to prawda?

— Bardzo źle robi, moje dziecko, odrzekł stary ojciec wzdychając, bo i grosz szasta i czas mitręży:

A kiedy w domu
Nie ma siedzieć komu,
Wiatr w izbie tańcuje,
Bo człek nie panuje.

Przytem w miasteczku moje dziecko o bałamuctwo nie trudno; dla tego starzy gospodarze ułożyli na to taką rozgadkę:

A na tarczku,
Lub jarmarczku
Hulaj dusza,
Kto się rusza!
I jak stanie kum przy kumie,
To wnet ostro, jak kto umie:
Mój kumeczku, moje serce,
Ot! wypijmy po kwaterce;
Dobra twoja,
Dobra moja,
I tu kapka, tam kruszynka,
Aż wieczorem nogi młynka.
Więc w powrocie dół, czy góra,
Tylko miga pełna fura!
Batem konie! dalej z drogi!
Niech tam bydlę łamie nogi!
I wśród krzyku, kiwań głów
Sypie wszystkich z wozem w rów.
Na dzień drugi klin na klina:
To nie moja kumo wina...
Więc częstuje,
I na nowo jarmarkuje.

Rozum w świat ucieka ptakiem,
Ład domowy idzie rakiem,
Dziatki skwierczą, żona stęka,
Aż też wreszcie bieda znęka;
Bo kto często jarmarkuje,
To już w domu nie panuje.

Więc tego moje dziecko nie zapomnij, dołożył ojciec i zawsze te słowa miej w pamięci.

— Dobrze mój tatusiu, dobrze, odrzekł Walek, skrobiąc się w głowę; to zeszłego tygodnia widać, że na was matusia o to samo krzyczeli, bo tyla było termedyi, że...

— No dobrze, dobrze, przerwał stary, trochę się rumieniąc, ale równie ty nie wypuść tego z głowy, com ci tu rzekł.

— Dobrze, tatusiu, dobrze, odrzekł Walek i poskakując, ruszył ku oborze powtarzając:

Bo na tarczku,
Lub jarmarczku... *z Cz. N.*

RÓŻNOŚCI.

Dwa pożary. Przed trzema tygodniami zgorzała cerkiew w *Dolinie* w obwodzie Stanisławowskim. Ogień był tak gwałtowny, że nic nie można było uratować; więc obrazy święte, sprzęty i księgi kościelne, wszystko to się spaliło. Jedna dzwonica jakimś cudem co się nie zajęła i ocalała. Tam też urządziła gmina tymczasowo kaplicę, zanim nową cerkiew wybudują. — Drugi pożar jeszcze straszniejszy, był w tydzień potem w *Horodłowicach* w Żółkiewskiem. U gospodarza Andrucha O... najsamprzód się zajęło. Wypadli ludzie na ratunek, ale nadaremnie. Ogromny wicher powstał i piorunem porozniecał ogień po innych domach. Trzydzieści chałup ze wszystkiemi budynkami i dwie karczem spłonęło do szczętu. Nieszczęście wielkie! niewiadomo czy przez nieostrożność powstał ogień w chałupie u Andrucha, czy też był podłożony ze złości.

Przypadek na Sanie. W pierwszych dniach Kwietnia wezbrała wielka woda na Sanie. W jednem miejscu nieopodal Przemyśla, chciało się czterech chłopów łódką przewieść na drugą stronę. Już byli na środku rzeki, aż ci naraz czółno się wywróciło i wszyscy powpadali do wody. Trzech od razu poszło na spód i już ci się więcej nie pokazali— czwarty uchwycił się czółna i popłynął het z wodą wzywając o ratunek. Stali ludzie na brzegu, widzieli i słyszeli dobrze głos nieboraka, ale nikt nie odważył się pójść na ratunek, że była bardzo wielka woda. Biedaczysko trzymając się łódki, popłynął jeszcze kawał — aż niedaleko *Iłurka* za Przemyślem siły go opadły i takoż zginął. Tak to, moi ludzie, życie nasze niepewne; nikt się nie spodzieje, kiedy go śmierć spotka, Dla tego żyjmy tak, jakbyśmy zaraz umierać mieli, iżby nas śmierć nie zastała przy nieczystem sumieniu w grzechu.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**